

KAROLINA ZIELIŃSKA

KOCHAJĄC

Ciebie

TOM 3

W LABIRYNCIE DOZNAŃ



KOCHAJĄC
Ciebie

TOM 3

W LABIRYNCIE DOZNAŃ

KAROLINA ZIELIŃSKA

KOCHAJĄC
Ciebie

TOM 3
W LABIRYNCIE DOZNAŃ

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala

Redaktor prowadząca: Marta Burzyńska

Redakcja i korekta językowa: Ewa Hoffmann-Skibińska

Projekt okładki: Izabela Starosta

Skład i przygotowanie okładki do druku: Agnieszka Zawadka

Skład i łamanie: Kolormax Krzysztof Korpik

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

WARSZAWA 2021

Wydanie I

ISBN: 978-86-67357-33-3

Zapraszamy księgarnie i biblioteki
do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:
kontakt@dlaczemu.pl

*„Cokolwiek pomiędzy ludźmi kończy się
– znaczy: nigdy nie zaczęło się.
Gdyby prawdziwie się zaczęło – nie skończyłoby się.
Skończyło się, bo nie zaczęło się.
Cokolwiek prawdziwie się zaczyna
– nigdy się nie kończy”.*

Edward Stachura

Lena

1

28 listopada 2021

17:45

(...) *K*ocham Cię to także ból, tęsknota i żal.

Kocham Cię to morze łez.

Kocham cię to móc pozwolić Ci odejść.

Ufam, że będziesz wspaniałym ojcem dla swojego dziecka.

Bardzo Cię proszę, nie chowaj do mnie urazy za Bartka i Gawędę. Przepraszam za wszystkie niedogodności, które Cię spotkały z ich strony.

PS W kopercie są pieniądze, które pożyczyłam na leczenie Belli. 5 tysięcy.

Szczęśliwego życia,

Lena Piasecka

Z trudem udawało mi się utrzymywać długopis tak, aby nie zostawiał niepotrzebnych kresek na białej kartce. Moje dłonie drżały coraz bardziej, a ja nie miałam siły na nic. Umierałam. Właśnie w tej chwili zmuszałam do samobójstwa swoje serce. Kazałam mu się poddać i nigdy więcej nie zebrać o kolejną szansę. Limit się wyczerpał. Zwijałam się z bólu, zagryzałam wewnętrzną stronę policzków, aby nie wybuchnąć kolejny raz płaczem. Nie miałam zbyt dużo czasu, zanim wróci.

Dwadzieścia minut, może nawet mniej. Targana emocjami nie potrafiłam rozsądnie myśleć. Podeszłam do łóżka i wsunęłam kartkę delikatnie pod poduszkę, jakbym bała się ją pokazywać. Wolno musnęłam opuszkami palców pościel, w której uwielbiałam zasypiać i która pachniała wspaniałą mieszanką płynu do płukania i jego ciała. Przymknęłam powieki. Gorące dreszcze objęły mnie mocno. Nie chciały, żebym odchodziła. Stopy wrosły w podłogę. Wszystko we mnie wrzeszczało z bólu. Potrzebowałam ukojenia, ale wiedziałam, że tutaj go nie znajdę.

Już nie.

Dlatego wyszłam. Dlatego wrzuciłam swoją torbę do samochodu, zapięłam psu smycz i zostawiłam za sobą dzielnicę Osowo, kierując się w stronę hałaśliwego centrum. To nie była łatwa decyzja. Wymagała ode mnie nadludzkiego wysiłku, ale zarazem to była jedyna opcja, którą mogłam wybrać. Wszystko inne było iluzją. Zwyczajnym złudzeniem. Pyłem. Przede mną rozciągała się niewiadoma. Pozbywając się na własne życzenie dachu nad głową, oficjalnie stałam się bezdomna. Zrozpaczona zaparkowałam na parkingu Lidl'a i zaczęłam przeszukiwać ogłoszenia dotyczące wynajmu mieszkań. Nie było optymistycznie. Ceny spowodowały u mnie nagły wzrost ciśnienia krwi. Cholera, będzie słabo. Nie tracąc jednak nadziei, uparcie scrollowałam portale ogłoszeniowe. Zależało mi na czasie, choć dopuszczałam do siebie fakt, że zarówno tę noc, jak i kilka następnych spędzę w samochodzie. Bolał mnie żołądek, lecz nie wiedziałam czy z głodu, czy z nerwów. Prawdopodobnie to była kombinacja tych dwóch opcji. Od rana walczyłam z brakiem apetytu. Nie byłam w stanie nic w sobie wmusić. Oparłam zrezygnowana głowę na wytartej kierownicy i w tym

samym momencie rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości. Henryk. Pytał, gdzie jestem. Patrzyłam na wyświetlacz, nie mając pojęcia, jak wiele jeszcze SMS-ów o podobnej treści do mnie dotrze.

I jak wiele będę musiała zignorować. Ile wyleję łez.

Jak głośno będę krzyczeć.

I jak wolno będę się rozpadać.

Spadać, pękać jak szkło za każdym razem, kiedy postanowię wykonać krok w przód. Walczyć zaciekle o normalność. Bronić tego, co we mnie zostało. I nie odwracać się. Pod żadnym pozorem nie mogłam się odwrócić za siebie. Droga, którą podążałam, wymuszała lojalność. Pełna cierni i zakrętów obiecywała ulgę i spokój. Wiedziałam, że nie mogę pozwolić sobie na odpoczynek. Zaszłam zbyt daleko, aby się poddać. Jeszcze kawałek. Jeszcze chwilka.

Czy zdołam zmienić swoją historię i odwrócić bieg wydarzeń? Czy wszystkie uczucia, jakie paliły ciało, pozwolą o sobie zapomnieć?

Czy to rzeczywiście koniec?

Henryk

2

14 grudnia 2021

19:54

*J*eśli myślała, choć przez nanosekundę, że może tak po prostu odejść, to się myliła.

Grubo się myliła.

Nie mogła.

Nie miała. Kurwa. Prawa.

Dobra, rozumiałem jej złość i żal. Rozumiałem wszystko doskonale, ale nawet to nie dawało jej przyzwolenia na robienie takich rzeczy. Nigdy. Byliśmy dorosłymi ludźmi, do chuja, i powinniśmy choć w połowie kierować się rozsądkiem. Bo wierzyłem, że takowy posiadała. Choć z drugiej strony – kto, kurwa, pisze list i ucieka z domu? Kto nie odbiera pieprzonych połączeń i udaje, że nie dochodzą do niej wiadomości? Kto? Tylko jedna osoba na tym posranym świecie. Lena.

Lena Julia Piasecka.

Mój największy koszmar. Największe pragnienie. Ta dziewczyna doprowadzała mnie do szału nawet brakiem swojej obecności.

– Możesz powtórzyć? – Spojrzałem na Stefana niewidzącym wzrokiem. Siedzieliśmy w klubie muzycznym „Parlament”. Za chwilę zespół, którego nazwy pamiętałem jedynie początek, miał zacząć koncert. Sięgnąłem z niskiego stolika kwadratową

szklaneczkę z ciemnoczerwoną zawartością. Kostki lodu za-
zgrzytały wściekle, sprawiając, że nagle zapragnąłem przenieść
się gdzieś do ciepłych krajów i zapomnieć o nadchodzącej
zimie. Bo jedną z rzeczy, których nienawidziłem, był mróz.
Na samą myśl o śniegu dopadała mnie depresja. Sącyłem
więc Krew Ludwika, czyli drinka, który miał w sobie wódkę
porzeczkową i sok żurawinowy. Idealny smak. Nie za słodki,
nie za kwaśny ani nawet nie za porzeczkowy, udekorowany
plasterkiem cytryny i kilogramem pierdolonego lodu.

– Henry? – Stefan kolejny raz domagał się uwagi.

– Co? – rzuciłem nieco butnie.

– Pytałem, czy mógłbyś powtórzyć treść listu Leny. Wiesz,
nie chcę, żebyś zrozumiał mnie źle, ale spróbuj wejść w jej buty.

– W jej buty? – parsknąłem. – A kto wejdzie w moje?

– W tej chwili rozmawiamy o niej.

– Wiesz co? – Wlałem alkohol do gardła. – Pieprzę tę roz-
mowę. Nie będę o tym gadał. To nie ma najmniejszego sensu.

– I co? Opuścisz?

– Nie. – Uśmiechnąłem się szeroko. – Sama do mnie wróci.

– Raczej nie.

– Nie pierdol głupot. Oczywiście, że wróci. To pewnie jeden
z tych jej śmiesznych fochów. Wkurwiła się, napisała list pod
wpływem emocji, spakowała ciuchy i pojechała w pizdu, ale
kiedy ochłonie, kiedy wszystko do niej dotrze, ogarnie, że po-
stąpiła lekkomyślnie.

– Chłopie, ona jest zraniona do szpiku kości. Z tego, co pa-
miętam, mówiłeś, że poruszyła temat ciąży Zawadzkiej? To nie
jest zabawa, tylko ogromny problem. Odpowiedzialność.

– To nie jest ciąża.

– Nie?

- Jasne, że nie.
- To w takim razie co?
- Choroba psychiczna.
- Sugerujesz, że Alicja Zawadzka jest chora psychicznie?
- Nie. – Wyszczrzyłem zęby. – Ja to wiem.

Stefan chyba nie był zadowolony z mojej odpowiedzi. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem dlaczego. Przecież mówiłem prawdę, a on jako psychiatra powinien mnie wesprzeć. Alicja Zawadzka nie mogła być zdrowa psychicznie, bo zdrowa osoba nie wmawia wszystkim, że nagle jak za sprawą czarodziej-skiej różdżki zaszła w ciążę.

- Spałeś z nią?
- Dawno temu.
- Czyli był seks?
- Dawno temu – powtórzyłem z naciskiem. – Albo jest wia-tropylna, albo chora. Nie ma nic pomiędzy.

- Mówisz serio?
- A czy te oczy mogą kłamać? – Pochyliłem się w jego stronę i zamrugałem.

- Mogą i to robią. – Stefan pokręcił głową z dezaprobatą.
- Żal mi Leny. Tak po ludzku jest mi jej cholernie żal. Nie za-służyła sobie na takie świństwa.

- To prawda – przyznałem, dopijając drinka. – Ale mimo wszystko musi mieć twardy tyłek, skoro nadal mnie ignoruje.

- Ile już?
- Szesnaście dni – mruknąłem ponuro. – A nie, przepra-szam, szesnaście i pół.

- I co?
- Nic. – Odwróciłem się w kierunku sceny. – Poczekam na jaśnie panią.

– Czy do ciebie nie dociera, że ona się pożegnała? Nie wróci. Nie sama. Henryk, ona jest zrozpaczona, a ty zachowujesz się, jakby to był żart.

– A jak inaczej mam to traktować? Mnie się nie zostawia jak jakiegoś kundla pod sklepem. Wróci.

– Ma złamane serce.

– A ja mogę je poskładać i zeszyć. Ona to wie. Teraz pokazuje pazurki, ale za kilka dni je schowa. Nie ma innej opcji. Chce mi dokopać, pokazać środkowy palec i wymusić poczuć wina. To klasyczna babska zagrywka.

– Stuknij się w łeb.

– Tak? – Wkurzyłem się. – A chcesz zobaczyć, co będzie się działo, kiedy opublikuję zdjęcie na Facebooku z jakąś pindą?

– Co? Jaką?

– Jakąś. – Zacząłem się rozglądać wokół. – Ta przy barze nie wygląda źle. Lena wybuchnie jak Wezuwiusz.

– Albo jesteś tak głupi, albo twoje ego jest większe niż zakładałem. Chcesz dręczyć tę Bogu ducha winną dziewczynę? Przecież to przepis na katastrofę! Wydaje mi się, że powinienem z nią porozmawiać. Może trochę wyjaśnić twój punkt widzenia. Potrzeba komunikacji, to ona jest podstawą każdej relacji. Rezygnując z niej, nic nie zbudujesz.

– Ja nie zrezygnowałem.

– Obydwoje to zrobiliście.

– A pokazać ci, kurwa, liczbę wysłanych wiadomości na numer złościcy? Ja szukam dialogu, Stefan.

– Raczej kłopotów.

– Uparłeś się jak osioł – westchnąłem ciężko. – Jestem ofiarą, nie katem.

Stefan znów spojrział na mnie wzrokiem zdradzającym, jak bardzo mi nie wierzy, ale tym razem się nie przejąłem. Stwierdziłem również, że nasza rozmowa powinna dobiec końca. Nie chciałem bowiem przypadkiem wyładować swojej frustracji na przyjacielu. To nie byłoby w porządku.

– Zamawiasz jeszcze? – spytałem, patrząc na nasze puste szklaneczki.

– Nie. Już dosyć.

– Dobra. – Podniosłem się z miejsca. – Chodź, zaraz zaczną grać.

Zakotyłem się na piętach. Zrobiło mi się też duszno, dlatego postanowiłem zdjąć czarną, ocieplaną, dżinsową kurtkę. Gdy rzucałem ją niedbale na krzesło, poczułem na sobie spojrzenie kobiety siedzącej przy barze. Myślałem o niej, kiedy chciałem dopiec Lenie. Czyżby niebiosa zsyłały jakiś znak? Uśmiechnąłem się zadziornie w jej stronę. Wysoka, zgrabna i – wnioskując z karnacji – nie Polka. Oblizując swoje pełne usta, bawiła się parasolką w kolorowym drinku.

– Henry. – Stefan chwycił mnie za ramię. – Idziemy pod scenę.

– Idziemy, idziemy. – Chichotałem, dając się prowadzić jak uczeń do tablicy.

– Nie rób niczego głupiego.

– Och, nie martw się. Będzie bardzo trudno przebić Lenę.

Z chęcią napiłabym się czegoś. W uszach szumiała mi muzyka i Krew Ludwika. Wtopiliśmy się w tłum. Ludzie ochoczo wymachiwali rękoma i gwizdali. W ich mniemaniu właśnie w ten sposób zachęcali zespół do wyjścia zza kulis. Nie wiedziałem, na co czekam. Bilety na dzisiejszy występ załatwił Stefan. Ufałem mu jak bratu, więc nie zadawałem pytań.

– Chyba nie zaciągnąłeś mnie na jakieś ukraińskie disco, co? – rzuciłem żartobliwie.

– To jakaś nowa kapela.

– Ukraińska?

– Niemiecka.

– Żartujesz sobie?

– Nie, są z Berlina.

Patrzyłem na niego z niedowierzaniem. Następnym razem będę dokładnie sprawdzał, zanim zdecyduję się skorzystać. Nie robiłem sobie dużych nadziei. Jedynie prosiłem Boga i wszystkich świętych, żeby, cokolwiek to było, szybko się skończyło. Powinienem nabrać podejrzeń, kiedy zespół nie ogłosił żadnego supportu. Kurwa. Kto tak robi? Nagle światła zgasły, a niebieski neon przeciął mrok panujący w klubie.

– Zamiast supportu będą „Star Wars”? – spytałem ironicznie.

– Oglądałeś ostatnią część?

– No.

– I?

– Ujdzie, ale jeśli chcesz coś obejrzeć, to postaw na „Doktora Strange”.

– Marvel?

– No. – Uśmiechnąłem się słabo. – Wizualna perełka.

– Albo?

– „Palacz zwłok”. – Musiałem krzyczeć, żeby Stefan mnie usłyszał. – Z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego!

– Brzmi jak horror.

– Jest zajebisty. Czarno-biały, czechosłowacki. Mocny!

Stefan pokiwał głową niezbyt przekonany. Trudno, jego strata. Niebieskie neony nadal tańczyły po atlasowej czerni dominującej w sali. Kiwałem się w przód i tył w oczekiwaniu

na koncert. Na scenie najpierw pojawił się jakiś chudy facet z gitarą, a następnie zza kulis zaczęli wychodzić pozostali. Łącznie pięciu młodych muzyków, którzy porzucili swój ojczysty język i postanowili zwracać się do tłumu po angielsku. Międzynarodowo. Klasa. Szczerze? Byłem przygotowany na kicz, słaby wokal i postępującą migrenę, ale zamiast tego dostałem świetną perkusję, rytmiczne gitary i ciekawy głos. Zerknąłem kątem oka na Stefana. Stał, uśmiechając się półgębkiem. Mogłem coś powiedzieć, ale stwierdziłem, że lepiej, jeśli skupię się na muzyce. Uwielbiałem występy na żywo. Lena zresztą też. Żałowałem, że nie ma jej tutaj ze mną. Z pewnością byłaby zachwycona. Nagle poczułem coś jakby uderzenie i to w sam środek serca. Nie wiedziałem dlaczego, ale ogarnęła mnie pustka, choć wokół otaczało mnie mnóstwo roześmianych, szczęśliwych osób. Pierdolona ironia losu.

Zespół o nazwie Rocks (kreatywności w tym za grosz) rozpętał całkiem przyjemną burzę na scenie. Chłopacy grali fajnego rocka, który momentami przeistaczał się w alternatywę. Piosenki chwytliwe, idealne do spędzenia piątkowego wieczoru z kumplem.

Było dobrze.

A mogłoby być jeszcze lepiej.

Gdyby tylko moja złoźnica schowała fochy do kieszeni.

Koncert trwał godzinę i czterdzieści pięć minut. Zaskoczony tym, jak dobrze się bawiłem, kupiłem ich płytę i poprosiłem o autograf, jakbym był najwierniejszym fanem, a potem zadowolony wyszczerzyłem zęby do Stefana i obydwaj

wyszliśmy z klubu wprost w zimną, nieprzyjemną noc. Niebo było zachmurzone i choć chciałem, za cholerę nie mogłem dostrzec księżycy. Wiał północny wiatr, który porywał nagie gałęzie drzew do gwałtownego tańca, a uliczne latarenki rzucały mroczny pomarańczowy blask na sąsiednie budynki, chodnik i ulicę, po której zasuwały samochody. Nocą przybywało idiotów. Gromadzili się w bramach kamienic lub przy wąskich uliczkach w szerokich dresach, kurtkach z szeleszczącego materiału i bawełnianych czapkach. Pili, zazwyczaj wódkę, śmiali się głośno i okazjonalnie rzucali jakieś przekleństwa do przypadkowych przechodniów, czyli tym razem do mnie i Stefana. Oczywiście my ich ignorowaliśmy. Czekaliśmy na Ubera. Nie mogąc ustać na mrozie, wydeptywałem ścieżkę od kosza na śmieci do wiaty przystanku tramwajowego.

– Henryk?

– Hę? – rzuciłem, gapiąc się na płytę, którą trzymałem w rękach. Dziesięć utworów, średnia długość piosenki wynosiła jakieś trzy minuty i dwadzieścia sekund. Nieźle.

– Wiesz, że mamy dopiero czternastego grudnia?

– I co? – warknąłem

– Zima dopiero się rozkręca, a ty wyglądasz, jakbyś miał zaraz dostać ataku hipotermii.

– Pieprzyć grudzień, pieprzyć zimę.

Na kilka sekund zagapiłem się na udekorowane białymi lampkami LED cztery choinki. W niedużej odległości stał też bałwan.

– To będą pierwsze święta bez dziadków, co? – Stefan podszedł do mnie i położył dłoń na moim ramieniu. – Zwykle spędzaliście je w Sopocie...?

– Ta... – przytaknąłem niechętnie.

– Będzie dobrze.

– Musi być.

Nie myślałem o Wigilii. Nie wybiegałem myślami tak daleko, ale rzeczywiście te święta będą inne. Być może smutniejsze. Nie wiem. W naszej rodzinie wszystko było pomieszane jak *cicer cum caule*, czyli przysłowiowy groch z kapustą. Dreptałem na mrozie, a poziom irytacji piął się niebezpiecznie w górę. Jeszcze chwila, a byłem gotów dzwonić na centralę i ochrzanić ich za to, że mój Uber spóźnia się już pięć minut.

– Henryk?

– No?

– Lena sama nie wróci.

Nie chciałem przyznać, ale kiedy dotarły do mnie jego słowa, poczułem się paskudnie. Rozbolał mnie żołądek, a chłód przybrał na sile. Nie mogłem dopuścić do siebie tego scenariusza. Nie wróci? Dlaczego miałyby nie wrócić? Na pewno wróci. Przecież byliśmy jak Bonnie i Clyde.

A ci zawsze do siebie wracali.